

# GŁOS BRATA ALBERTA

PISMO PRZYJACIÓŁ DZIEŁA BRATA ALBERTA

Nr. 2 Marzec - Kwiecień 1939 Rok VIII

# GŁOS BRATA ALBERTA

ROK VII MARZEC-KWIECIEŃ NR. 2



KS. DR KAZIMIERZ PRAŻMOWSKI

## UMIŁOWANY PAPIEŻ POLAKÓW

W dniu 10 lutego o godz. 5 min. 31 zakończył ziemskie życie Ojciec Święty, papież Pius XI. Wieść przygnębiająca ogłoszona przez radio, podana szerokim rzeszom wiernych przez żałobne dzwony, powtórzona we wszystkich dziennikach wywołała w całym świecie ogromne wrażenie, zwłaszcza w Polsce, z którą Zmarły w szczególniejszy sposób był związany.

Polacy w ciągu półtora wiekowej niewoli, pozbawieni własnej państwowości, lepiej od innych czuli wagę autorytetu kościelnego i głęboką czcią otaczali Namiestnika Chrystusowego,

zwłaszcza, gdy umiał ocenić ich dążenia i w imię wyższej sprawiedliwości podnosił głos w obronie ciemiężonego narodu. Pius XI ściślej niż inni papieże złączył swe życie z Polską, był bowiem pierwszym nuncjuszem w zmartwychwstałej Polsce, patrzał i współdziałał z wielkimi Polakami u zarania naszej niepodległości, nie opuścił Warszawy w groźnej chwili najazdu bolszewickiego, a później już, jako papież, uważał Polskę za swą drugą ojczyznę, serdecznie witał zawsze Polaków przybywających do Rzymu, w willi Castel Gandolfo kazał w ołtarzu swej kaplicy umieścić obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na ścianie polecił polskiemu artyście Rosenowi wymalować scenę z oblężenia Warszawy ze śmiercią księdza Skorupki. W związku z otrzymaniem sakry biskupiej w katedrze św. Jana z rąk ks. arcybiskupa warszawskiego Al. Kakowskiego nazywał się żartobliwie polskim biskupem i mówił, że nie miałby nic przeciw temu, gdyby został pochowany na polskim cmentarzu. Nic zatem dziwnego, że żałobny kaznodzieja ks. bisk. Szlagowski na nabożeństwie w stolicy za spokój duszy Piusa XI nazwał Zmarłego »umiłowanym papieżem Polaków«.

Pius XI, z nazwiska Achilles Ratti urodził się w miasteczku włoskim Desio, dwie mile od Mediolanu w r. 1857. Ojciec jego Franciszek był niezamożnym zarządcą przędzalni braci Conti. Rodzeństwo przyszłego papieża składało się z trzech braci i jednej żyjącej dotąd siostry Kamili. Achilles po ukończeniu szkół średnich, zapisał się na studia teologiczne, które uwieńczyło uzyskanie potrójnego doktoratu, teologii, filozofii i prawa kanonicznego. Po święceniach kapłańskich krótko sprawował obowiązki duszpasterskie, wkrótce zlecono młodemu kapłanowi wykłady w seminarium, a niedługo potem pracę w bibliotece ambroziańskiej od roku 1908, w charakterze prefekta tej ważnej naukowej placówki. Następnie z woli papieża Benedykta XV objął ks. Ratti stanowisko zastępcy dyrektora biblioteki watykańskiej. W zaciszu bibliotecznym uprawiał Achilles Ratti z zamiłowaniem pracę naukową, która doprowadziła do poważnej ilości 50 dzieł, a odpoczynku szukał w górach, zdobywając sobie imię wybitnego alpinisty przez odkrycie nieznanego wejścia na wyniosły szczyt alpejski Monte Rosa. Pomimo różnorodnych obowiązków ks. Ratti znalazł czas na prace społeczne w różnych organizacjach

religijnych, których wiele sam powołał do życia. Szczególnie wzruszającym jest fakt zajęcia się młodymi kominiarczykami, przybywającymi z osiedli górskich do Mediolanu.

W roku 1918 papież Benedykt XV wysłał uczonego bibliotekarza w charakterze wizytatora apostolskiego do Polski i Litwy, a w czerwcu następnego roku zamianował go pierwszym nuncjuszem w odrodzonej Polsce, z godnością tytularnego arcybiskupa. Święceń biskupich udzielił nuncjuszowi arcybiskup warszawski ks. dr Aleksander Kakowski. Ks. nuncjusz rozwinął żywą działalność na swym wysokim stanowisku, wizytował diecezje, odbywał narady z episkopatem, zwiedzał najważniejsze miasta polskie, brał udział w naszych rzewnych obrzędach religijnych, utrzymywał żywy kontakt z władzami państwowymi, przy czym uderza szczególnie serdeczny stosunek między ks. nuncjuszem a ówczesnym naczelnikiem państwa Józefem Piłsudskim, opartym na wzajemnym szacunku.

Odwołany z Polski dla objęcia godności arcybiskupa mediolańskiego, a w kilka miesięcy później zaszczycony purpurą kardynalską, ks. Achilles Ratti w roku 1922 został obrany następcą Benedykta XV i przybrał imię Piusa XI.

Wrogowie Kościoła cieszyli się z tego wyboru w przekonaniu, że uczony kardynał, »przyjaciel gór i książek«, zatopiony w swych teoretycznych rozważaniach, pozostawi im zupełną swobodę kształtowania życia praktycznego. To też zdumienie ich i oburzenie było niezmierne, gdy nowy papież od pierwszych lat pontyfikatu rozwinął energiczną działalność pod hasłem »Pax Christi in regno Christi«. W ciągu 17-letnich rządów na Stolicy Piotrowej Pius XI zawarł szereg konkordatów, nawiązał dyplomatyczne stosunki z rządami, które dawniej wrogo odnosiły się do Kościoła, erygował wiele biskupstw, święcił biskupów tubylczych, zakładał szkoły dla duchowieństwa, urządzał wystawy, błogosławił zjazdom katolickim, a kiedy z woli papieża uczony Marconi urządził w Watykanie radiową stację nadawczą, papież korzystał z tego wspaniałego wynalazku, aby osobiście przemawiać w czasie kongresów eucharystycznych lub innych ważniejszych uroczystości religijnych. Ukoronowaniem zewnętrznej działalności Piusa XI było zawarcie układów lateraneńskich, które zakończyły przeszło półwiekowy spór między państwem włoskim

a Kościołem. Cały świat z podziwem i wdzięcznością przyjął do wiadomości ten epokowy fakt. Kiedy pewnego razu wyrażono podziw dla zmysłu dyplomatycznego Ojca Świętego, ten powiedział: »To nie był akt dyplomacji tylko urzędu pasterskiego«.

Uznając prawo życiowe nowoczesnych ruchów narodowych Pius XI czuwał, by w czym zasady wiary katolickiej nie poniosły uszczerbku. Ostrzegał zatem przed bezbożnym komunizmem, brał w obronę katolików niemieckich, słał słowa pociechy ofiarom barbarzyństwa hiszpańskich komunistów, zachęcał do wytrwania katolików meksykańskich. Wrogowie Kościoła głośno oburzali się nazywając Piusa XI papieżem politycznym, ale wierni z podziwem i wdzięcznością patrzyli na swego nieustraszonego wodza, któremu proroctwo Malachiasza dawało określenie »fides intrepida« — »wiara nieustraszona«.

Z niemniejszą gorliwością papież pracował na polu życia wewnętrznego Kościoła. W licznych encyklikach i przemówieniach, które niestrudzenie wygłaszał, zwracał uwagę na doniosłość wychowania chrześcijańskiego, nawoływał do odrodzenia rodziny chrześcijańskiej, wskazywał na wysokie dostojeństwo urzędu kapłańskiego, polecał praktyki pobożne, a przede wszystkim powołał do życia Akcję Katolicką, aby zjednoczyć świeckich katolików z duchowieństwem w pracy nad kształtowaniem życia po myśli Chrystusowej. Symbolem tych wzniosłych zamierzeń było ustanowienie święta Chrystusa Króla.

Nie ograniczał się gorliwy pasterz do owieczek trwających w zjednoczeniu z Kościołem i z całą energią popierał misje i wszelkie organizacje, które by mogły przyspieszyć wymarzoną jedność Chrystusowej owczarni.

Niepodobna pominąć działalności dobroczynnej wielkiego papieża. W dzielnicach zamieszkałych przez ubogą ludność Warszawy, znaną była postać nuncjusza apostolskiego, który osobiście rozdzielał dary między głodującą ludność, jeździł do Kalisza i na Chełmszczyznę w tej sprawie. Jako papież organizował pomoc dla głodującej Rosji, nie zapomniał także o biednych dzieciach polskich. Zasiłki z mocno uszczuplonego po wojnie skarbu papieskiego towarzyszyły także w innych krajach słowom pociechy dla ludności dotkniętej klęskami elementarnymi. Rozwijając akcję charytatywną, Pius XI podobnie jak Brat Albert, domagał

się sprawiedliwości społecznej, w encyklice Quadragesimo anno nawiązując do myśli przewodnich encykliki Leona XIII Rerum novarum.

W zrozumieniu wielkiej roli sztuki religijnej popierał gorąco wysiłki do jej ożywienia. Dziś, gdy to niewyczerpane źródło najszlachetniejszych porywów bić przestało ze zdumieniem patrzymy na życie wielkiego papieża i konstatujemy, że nie było dziedziny ducha, na której by ten niepospolity duch nie położył swego piętna.

## KU ULŻENIU DOLI DZIECI I BIEDNYCH

*(Fragmenty z listu Apostolskiego papieża Piusa XI »o niezwykle ciężkim przesileniu gospodarczym, o opłakanym w wielu krajach bezrobociu i o wzrastających zbrojeniach wojennych« z dnia 2 X 1931 r.).*

Klęska bezrobocia. Nowa klęska zagraża powierzonej Nam trzodzie i gnębi ją już, dławiąc bezlitośnie słabszą jej część, którą my szczególną otaczamy opieką — mianowicie: dziatwę, lud roboczy, rzemieślników oraz tych wszystkich, którzy nie opływają w dostatki. Mówimy o poważnych trudnościach i o przesileniu gospodarczym, które dotknęły narody i we wszystkich krajach wywołują w wielu kołach groźne i wzrastające bezrobocie. Widoczną to bowiem rzeczą, że na wymuszoną bezczynność i tym samym na skrajną nędzę skazana jest wraz z dziećmi niezliczona prawie ilość uczciwych pracowników, którzy niczego więcej nie pragną, niż rzetelnie zarobić na chleb, o który z Bożego rozkazu codziennie proszą Ojca niebieskiego. Narzekania ich wzruszają serce Nasze i każą Nam z tym samym współczuciem powtórzyć skargę, która na widok zgłodniałego tłumu wyrwała się z najmiłościwszego Serca Bożego Mistrza: »Żal mi ludu« (Marc. VIII, 2).

Los dzieci. Ale z serdeczniejszą litością zwraca się myśl Nasza ku owym tłumom dzieci, które ze łzami prosząc chleba »a nie było, ktoby im ułamał« (Jer. Thren, IV 4), stając się niewinnymi ofiarami nad wyraz smutnego położenia i schnąc w nędzy, widzą, jak omija ich radość, wiekowi ich przynależna

i odczuwają jak gaśnie i zamiera na młodziuchnych ich wargach uśmiech, którego w duszy pragną nieświadomie.

Troska wobec zimy. Skoro zaś zima już nadchodzi, zjawią się niewątpliwie jej towarzysze, to znaczy kłopoty, utrapienia i niedostatek, które zimna pora dla wątłej dziatwy i dla biednych sprowadza. Nad to należy się lękać, że plaga bezrobocia o której powyżej wspomnieliśmy, wzmoże się do tego stopnia, że nędza tylu głodujących rodzin popchnie je — co nie daj Boże — do rozpaczy. To wszystko z drżeniem rozważamy w ojcowskim Swym sercu, dlatego za przykładem Poprzedników Naszych, a zwłaszcza ostatniego z nich ś. p. Benedykta XV, podnosimy Swój głos, napominając usilnie wszystkich, którzy mają żywą wiarę i chrześcijańskie miłosierdzie. Wezwanie Nasze stawia sobie za cel pobudzanie wszystkich do krucjaty miłosierdzia i pomocy.

Konieczność pomocy. Zbawienny taki wysiłek zaradzi potrzebom ciała i doda otuchy duszom, pobudzając i umacniając ich wiarę i oddalając zgubne myśli, które nędza jako zły doradca zwykle nasuwa. Wygasi do szczętu zarzewie nienawiści i niezgody, która poróżnia obywateli, a wzamian wznieci święty ogień zgody i miłości, który krzewi i wzmacnia szlachetny węzeł pokoju i pomyślności, ku dobru jednostek i państwa.

Wezwanie do krucjaty miłosierdzia. Do tejże więc krucjaty pobożności i miłosierdzia, z którą łączy się z pewnością gotowość do ofiar na rzecz ubogich, wzywam wszystkich synów wspólnego Ojca niebieskiego, niezliczonych członków jednej rodziny, a zatem braci w Chrystusie, którzy wspólne mają radości i pociechy, ale też wspólne smutki i bóle. Do tej błogosławionej, krucjaty wołamy wszystkich jako źródła świętego obowiązku, który opiera się na wyraźnym nakazie Ewangelii, mianowicie na przykazaniu miłości, które Chrystus Pan nazwał pierwszym i największym przykazaniem, streszczeniem i syntezą wszystkich innych przepisów. Przykazanie to ukochany Nasz bezpośredni Poprzednik w czasie szalejącej wówczas prawie wszędzie ogólnej niezgody tylekroć i z taką siłą przypominał, że uczynił zeń niejako znamię wyróżniające całego pontyfikatu swego.

Największe przykazanie. Dlatego zalecamy wszystkim najsłodsze to przykazanie, nie tylko jako najważniejszy obo-

wiązek, ale także jako najszczytniejszy cel i ideał zwłaszcza dla tych, którzy goreją miłością ludzi i pragnieniem doskonałości ewangelicznej. Uważamy jednak, że nie potrzebujemy zbyt licznymi nalegać słowy, ponieważ i tak wszyscy są przeświadczeni, że tylko ta szlachetność i wielka gorliwość i współzawodnictwo chrześcijańskiej cnoty — tych zwłaszcza, którzy wedle sił i tak dzielnie poświęcają się dobru swych braci, a szczególnie pamiętają o potrzebach słabych dzieci i co uboższej ludności — zgodnym wysiłkiem niezwłocznie pokonać zdoła ciężkie trudności obecnej doby.

WITOŁD NOWOSAD

## „SZARY HABIT ARTYSTY"

**(Przemówienie w sali Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie z dnia 29 stycznia 1939 r. na akademii ku czci Brata Alberta).**

W owych latach pełnych oznak nadchodzącej burzy wojny światowej, która Europie ufającej w wszechmoc ludzkiego rozumu i dalekiej od Boga — niosła ruinę materialną na milionach poległych, a w Polsce z woli Opatrzności sprawiedliwe zmartwychwstanie — w Zakopanem żyło dwu ludzi wielce różnych od swego otoczenia.

Jeden to nieznany szerzej wówczas emigrant rosyjski, zamyślony, ale niebezpieczny w dialektycznych sporach, fanatyczny wódz partii komunistycznej Ulianow - Lenin — i drugi jadący na zwykłym, jednokonnym wózku główną ulicą po kweście zakonnik w grubym, szarym habicie: Brat Albert, opiekun nędzarzy, postukujący żelazną kulą, bo nogę utracił w styczniowym powstaniu. Nikt nie wie, czy ci dwaj kiedyś ze sobą się spotkali i ze sobą rozmawiali, choć nie można tego wykluczyć, ale to pewne, że reprezentowali dwa światy różne, jak różna jest miłość od nienawiści, miłosierdzie od terroru, a Zachód od Wschodu. My natomiast, po dwudziestu przeszło latach od chwili ustanowienia w Rosji krwawego samowładztwa bolszewickiego i od chwili śmierci Brata Alberta, możemy śmiało powiedzieć, że choć Lenin osiągnął władzę i zaszczyty, pamięć jego przeklinają dziś miliony torturowanych i głodujących ludzi — a Brat Albert, który zapomniał o sobie dla Boga i dla najbiedniejszych, odbiera cześć pośmiertną coraz większą od Polaków ze wszystkich warstw

społecznych i da Bóg, niedługo już na ołtarzach Pańskich powiększy grono świętych Patronów Polski. Lenin obiecywał »raj komunistyczny na ziemi«, a stworzył piekło dla ludzi pracy, Brat Albert usuwał piekło nędzy i występku z ziemi, przywracając niebo zrozpaczonym oczom biedaków. Lenin ukazywał nędzarzom krwawą rewolucję, rzeź i krzywdę jako jedyną drogę do szczęścia. Brat Albert leczył rany społeczne miłosierdziem i sprawiedliwością. Wiemy, że wobec historii tylko ta druga praca daje szczęście wszystkim. Ale słusznie zauważyła już niegdyś nasza poetka Deotyma, że szatan jak Lenin tylko obiecuje szczęście, Bóg zaś daje je naprawdę.

Mówić o życiu Brata Alberta, opisywać szczegółowo, jak z Adama Chmielowskiego, bojownika o niepodległość Ojczyzny w r. 1863, przedzierżgnął się w znakomitego malarza w Monachium i Warszawie, aby po przebytym przełomie religijnym w nowicjacie Ojców Jezuitów w Starej Wsi znaleźć ostatecznie swą rolę życiową w szarym habicie III Zakonu św. Franciszka pośród posługi najbiedniejszym, bezdomnym i chorym w Krakowie wraz z założonym przez siebie Zgromadzeniem Braci Albertynów i Sióstr Albertynek — dzisiaj właściwie nie potrzeba. Wszak kult tego wielkiego Sługi Bożego ogarnął dziś prawie całą Polskę, wieś i miasto, salony i poddasza, inteligencję i proletariat, wojsko i szkołę. Tu trzeba raczej podkreślić tylko niektóre momenty z Jego pracowitego żywota i wskazać, skąd bierze się konieczność rozwoju dzieła Brata Alberta w odrodzonej Ojczyźnie.

Mało w którym wybitnym Polaku tak zespoliły się najpiękniejsze cechy naszego narodu, jak w Adamie Chmielowskim. Zapał służenia każdej wielkiej sprawie i gotowość oddania jej całej duszy, namiętne poszukiwanie głębokiego sensu życiowego i własnej roli, co zaprowadziło wesołego eks-powstańca na szczyty mistyki katolickiej wzorem św. Franciszka z Asyżu i św. Jana od Krzyża, głęboka a prosta pobożność i wierna miłość rodzinnego kraju, wreszcie zrozumienie dla spraw społecznych i współczucie dla nędzy ludzkiej. Dodał zaś Brat Albert do owych wszystkich przymiotów cechę niestety rzadką w Polsce: żelazną pracowitość, opanowanie woli i dążenie nieugięte do raz wytkniętych celów.

Żeby zrozumieć samą postać Brata Alberta tak niezwykłą, że już za życia powszechną cześć budziła, warto przytoczyć określenie pierwszych chrześcijan, zawarte w liście św. Justyna do poganina Diogneta z czasów cesarza Trajana:

»Chrześcijanie w tym, co dotyczy pożywienia, ubioru i innych rzeczy, przestrzegają obyczajów kraju... Ich wszakże postępowanie, uważają za cudowne wszędzie... Mają ciało, ale wedle ciała nie żyją. Ulegają panującym prawom, atoli ich życie jest lepsze od prawa... Kochają świat cały, a od całego świata prześladowanie ponoszą... Odbierają im życie, a oni żyją... Są ubodzy a przecież wspierają wielu... Szkalują ich oszczerczo, chociaż jednocześnie uznają ich cnoty... Znieważają ich boleśnie, oni zaś błogosławią wszystkim!... Bez nich zapadł by się świat.«

Tak właśnie czynił Brat Albert: »nie żył wedle ciała« jak to pojmuje świat, a jego życie stało się lepsze od prawa. Czy to więc zabłąkany w nowoczesne czasy asceta z pierwszych wieków chrześcijaństwa, czy to mnich średniowieczny? Ani jedno, ani drugie. Człowiek, jak my wszyscy, walczący, cierpiący, pełen zwątpień i wahań się, zanim znalazł właściwe powołanie; jedno było w nim to coś niezwykłego, co z ludzi przyziemnych, tchórzliwych, niemocnych — czyni bohaterów i świętych: niezmierzona miłość Boża, konsekwentna tak, jak żąda tego Ewangelia Chrystusowa.

Adam Chmielowski słynął jako artysta malarz, przepowiadano mu wielką sławę w tej dziedzinie. Kto rozumie, iż artysta z urodzenia posiada duszę nieco inną, twórczą, wrażliwą, podatną na hołdy, lubującą się we własnych tworach — ten pojmie, iż wyrzeczenie się umiłowanej sztuki dokonane przez Brata Alberta dlatego, by lepiej móc służyć najnędzniejszym — musi być uznane za akt heroicznego poświęcenia. Jeno widzieli to wszyscy, iż ów kaleka o kuli posiadał duszę hartowną jak stal; zapatrzony w swego Mistrza Chrystusa Pana, usłuchał Jego słów:

»Tak więc żaden z was nie może być uczniem moim, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada (Łuk. 14, 33)«.

Wyrzekł się tego, co musiało być związane z nim najmocniej: sztuki, artystycznego spojrzenia na świat i wyrażenia go na płótnie, złożył swój talent u stóp Krzyża, a poszedł służyć swym »opuchlakom« i nędzarzom, bo w nich właśnie umiłował

Zbawiciela. Wśród wielu ofiar złożonych Bogu, ta była pewnie jedną z najcięższych, a trwała lat blisko trzydzieści. Z niej także wyrasta świętość polskiego Biedaczyny.

Taki to Polak w każdym calu i święty w każdej dziedzinie swego życia duchowego rozpoczął cudowne dzieło społeczne.



W przytulisku.

Powiedział Brat Albert w wywiadzie dziennikarskim w r. 1899:

»W społeczeństwie naszym nie jest jeszcze dostatecznie uznana prawda, że są potrzeby, których ogół nie ma prawa odmawiać jednostkom, a takimi potrzebami są: **chleb i dach nad głową**. Przyczynę tego ujemnego stanu rzeczy upatruję w wygórowanym egoizmie naszych czasów. Zasada miłości bliźniego nie przeniknęła nas jeszcze dostatecznie, a przecież owe tysiące najgorszej kategorii nędzarzy, to ludzie, tacy sami jak ci, którzy mieszkają w kamienicach, tylko nie są w stanie upomnieć się o siebie. Gmach miłosierdzia u nas jest bez fundamentów, którymi powinne być schroniska dla bezdomnych, dające im łyżkę strawy i nocleg«.

Postanowił położyć fundamenty pod gmach katolickiego miłosierdzia i dzięki swej świętości oraz pracy dokazał tego w szybkim czasie. W nory pełne brudu i występku, jakimi były przed 50 laty t. zw. »ogrzewalnie« miejskie w Krakowie — wniósł światło własnej duszy i pociechę, płynącą z tego, że się nędzarzowi daje jałmużnę, pracę lub opiekę nie ze wzgardliwym gestem, ale ochoczym sercem jak swemu bratu opuszczonemu. Biedakom, którzy nie mieli dachu nad głową, ani chleba dawał je odrazu, bez pytania, kim są i skąd przychodzą, ucząc ich tylko zwolna, że ten chleb i nocleg otrzymują z ręki i woli Chrystusa Pana. Tak więc Akcja Katolicka Brata Alberta stała się znakiem najpiękniejszego i najwyższego apostolstwa: uświęcając własne dusze, za pomocą uczynków miłosierdzia (a miłosierdzie nie jest żadną łaską, jeno niezmiennym, nakazanym obowiązkiem dla katolika) ratowała także dusze, które już często szły na zatracenie. Już w pierwszym roku działalności Brata Alberta liczba przestępstw w Krakowie wybitnie się zmniejszyła. Hasłem działalności albertyńskiej po dziś dzień uznawanym są słowa Karola Hub. Rostworowskiego, który także miał niegdyś zamiar przywdziać zgrzebny habit albertyński:

»Człowiecze serce któż rozsądzi?.
Mało złych i wielu nieszczęśliwych«.
(„Miłosierdzie").

Komunizm jako straszliwa filozofia przewrotu społecznego tworzy z wielkiej liczby nieszczęśliwych i wydziedziczonych ludzi złych i przewrotnych; zamiast nieść pociechę, każe drapieżnie krzywdzić, zaprawia dusze nienawiścią i zazdrością, stwarza typ człowieka, co rezygnując na zawsze z własnego szczęścia, chce go odebrać równocześnie wszystkim innym ludziom. »Wyklęty powstań ludu ziemi« — jak mówią słowa komunistycznej »Międzynarodówki«, aby na gruzach religii i własności przez śmierć i krew realizować obłąkańczą doktrynę Marksa.

Brat Albert, działając w czasach, gdy komunizm stawiał dopiero pierwsze kroki, wynalazł najlepszą metodę jego zwalczenia. Twardo stojąc przy zasadzie sprawiedliwości społecznej i konieczności reformy ustroju społecznego w myśl zasad nauki katolickiej, równocześnie przez zorganizowane miłosierdzie dać takie

poczucie największemu nędzarzowi, iż jest ktoś, kto o nim nie zapomni, iż prawo do dachu nad głową i do chleba zawsze mu ustrój społeczny zapewni. Ta główna zasada katolickiej dobroczynności, która zdała tak chlubny egzamin w ciągu wieków żyje w Zgromadzeniu Albertyńskim równie mocno dzisiaj, jak żyła w duszy świętego Założyciela. Przytuliska dla bezdomnych we większych miastach Polski, wśród nich słynny »Cyrk« w Warszawie przy ul. Dzikiej, domy pracy dla nieletnich chłopców i dziewcząt, domy dla chorych i opuszczonych starców — wszystko to w rękach Albertynów i Albertynek. Nie wiele jest tych naśladowców i uczniów Brata Alberta: braci zaledwie około stu, sióstr znacznie więcej — ale praca ich olbrzymia, cicha. Reklamy ona nie potrzebuje, wystarczy jej nagroda Boska, wdzięczność dusz ubogich i uznanie społeczeństwa. Codzień zjawia się od 50 lat na ulicach i placach Krakowa, w restauracjach, kawiarniach i sklepach — braciszek albertyński w szarym, ciężkim habicie i wyciągając skarbonkę mówi tylko te słowa: »Brat Albert na ubogich«. Jakby to zdanie stanowiło talizman czarodziejski, otwierają się wszystkie pugilaresy i portfele, daje każdy: bogacz i ten, co na siebie ciężko pracuje, daje mieszczanin i inteligent, chłop i robotnik, bo wiedzą, że pieniądze trafią w całości bez procentu i kosztów administracji wprost do ubogich. Dają Krakowianie, żeby zatrzeć pamięć owego przykrego dnia w 1888 r. kiedy to sam Brat Albert w swej pierwszej kweście przez cały dzień nic nie uzbierał, aż mu w końcu poczciwe przekupki kra-



kowskie na Placu Szczepańskim cały wózek jarzynami swoimi wyładowały.

Dzieło Brata Alberta świadczy do dziś wielkim głosem, iż w czasach najcięższej naszej niewoli i w czasach panowania myśli materialistycznej żył w naszym narodzie człowiek prawdziwie święty, ewangeliczny, apostolski, wierny naśladowca św. Franciszka z Asyżu w jego miłości do nędzarzy i w jego mistycznych rozmowach z Bogiem.

Strome wielce są schody w pierwszym przytulisku albertyńskim w Krakowie na Kazimierzu i trzydzieści prawie lat chodził nimi Brat Albert, stukając niewygodną, żelazną kulą, którą kazał sobie zrobić zamiast wygodnej protezy. Strome, jak stroma jest ścieżka do nieba, którą on szedł, a która wiedzie przez całkowite zaparcie się siebie, choćby przez to miała zginąć własna wielka sztuka, przez umartwienie się tak zupełne, iż spał długie lata i umarł na pryczy z gołych desek z poduszką wypchaną sieczką pod głową, przez wyniesienie duchowe tak wysokie, że choć ocierał się codzień o grzech i występek, nic nie splamiło jego gorącej duszy.

Jak św. Andrzej Bobola przepowiedział Brat Albert zmartwychwstanie Polski i przed śmiercią wyznał, iż stale »Te Deum« odmawia w podzięce Bogu za wojnę światową, z której wolna Rzeczpospolita wyrośnie. Jak ks. Piotr Skarga stał się nauczycielem miłosierdzia dla swego katolickiego narodu, przypominając, iż »bez miłości grosz jest szorstki, strawa podana niesmaczna, opieka najlepsza niemiła«. Jak hetman Żółkiewski walczył za Ojczyznę, za co mu Polska odrodzona chociaż orderem wysokim się odwdzięczyła, a jak artysta prawdziwy szukał obrazu Bożego w duszach najnędzniejszych, wiedząc, że Zbawiciel o nich kazał dbać najbardziej.

Cudem prawie stało się całe jego życie, budujący przykład dla współczesnych i potomnych, cudem jego dzieło z jałmużny absolutnej żyjące: wierzymy zaś tu we Lwowie, gdzie Brat Albert tak chętnie przebywał i gdzie powziął postanowienie oddania się całkowitego Bogu w zakonie, skąd wzrokiem wybiegał na ukochane Podole, wierzymy wraz z milionami Polaków, iż Bóg Miłościwy wiernego Sługę Swego opromieni rychło przez nowe cuda aureolą uznanej świętości!

WITOŁD CHOMICZ
Prof. Państw. Inst. Sztuk Plast. w Krakowie

# Współczesne zagadnienia religijnej sztuki plastycznej w Polsce

Retrospektywny rzut oka na przejawy sztuki dowodzi niezbicie, że poczęła się ona w wszelkich jej przejawach z tęsknoty ducha ludzkiego ku czemuś nieuchwytnemu, potężnemu co rządzi prawami życia i śmierci. Poczęła się ona z kosmicznego niepokoju, który znalazł ukojenie w wierzeniach religijnych. Wystarczy wziąć do ręki podręcznik historii sztuki a spostrzeżemy dowodnie, że właściwie jest ona w najpiękniejszych swych przejawach historią sztuki religijnej. Biorąc pod uwagę tylko historię sztuki europejskiej, włączając do niej najbliższe jej praźródła jak Asyrię i Egipt, których wpływy wynikające z historycznej konieczności, opromieniły nieśmiertelnym pięknem wyniosłe wzgórza Olimpu, potem objęły Romę i Bizancjum, aby ująć potężnymi płomieniami ludy Europy od pd. zachodu poprzez kraje łacińskie, a od pd. wschodu poprzez stepy i rubieże mało zaludnione przez plemiona chazarów i dotrzeć aż do polarnych kresów Europy, wszędzie niosąc za sobą ukojenie tęsknot metafizycznych człowieka. Widzimy potem wspaniały rozkwit sztuki przejawiający się kolejno w stylach historycznych od romańszczyzny przez gotyk, renesans, barok aż do czasów dzisiejszych. Obiektywny obserwator musi przyznać, że najwspanialsze przejawy sztuki plastycznej w każdym jej zakresie, są wyrazem zaspokojenia tęsknot religijnych. Mimochodem można zaznaczyć, że najwspanialsze pomniki literatury i muzyki są to utwory powstałe na podłożu religijnym, począwszy od psalmów proroków, skończywszy na »Missa sołemnis« Beethovena. Dziś gdy oglądamy zabytki architektury wczesno chrześcijańskiej, doznajemy głębokiego wewnętrznego przeżycia na widok cudownych harmonii kolorystycznych, wspaniałych mozaik w Ravennie, nastrój modlitewnego skupienia każdego musi ogarnąć w mrocznym kościółku Gallii Pacidii, gdzie słońce załamuje się ciepłym światłem poprzez płytki alabastru wprawionego w otwory okienne, a ze ścian mrocznych spływa ukojenie najwspanialszych harmonii barwnych mozaik. Gdy wchodzimy poprzez wspaniałe odrzwia

kościołów romańskich południowej Francji, do wnętrz pełnych surowej prostoty i powagi, gdy na widok gotyckich tumów, w realizacji których duch przezwyciężył materię, zda się, że człowiek znajdujący się w obrębie tajemniczego działania proporcji smukłych kolumn, strzelistych wiązań, staje się lepszy i szlachetniejszy.

Gdy wreszcie staniemy przed dziełami renesansu odczuwamy pełny wyraz zaspokojonych tęsknot, gdyż epoka ta niezaprzeczenie wyraziła się w najpiękniejszej symfonii wszystkich sztuk plastycznych, począwszy od prymitywu Cimabue Giotta poprzez Fra Angelico, Verocchia aż do wspaniałego zespołu Ghirlandaja, Boticellego, Leonarda, Michała Anioła. Niezwykle charakterystyczne zjawisko zda się potwierdzać harmonijność tej epoki, w której synchronicznie rozwijały się wspaniale wszystkie przejawy sztuki, oto na horyzoncie pojawiają się postacie genialne, które reprezentowały w swej pracy i największych osiągnięciach cały zespół zjednoczonych sztuk. Wszak powszechnie znanym jest, że Michał Anioł i Leonardo był jednocześnie genialnym poetą, malarzem, rzeźbiarzem, muzykiem, architektą, inżynierem. Określić ich można jako najwyższe symbole harmonii ducha ludzkiego w zakresie sztuki.

W okresach późniejszych następuje stopniowy upadek i poprzez barok, który jeszcze świeci resztkami słońca renesansu i ma wielkie wzloty, przechodzimy przez rokoko i empire, które można nazwać stylami regimu politycznego, wyrazem smaków dworskich Ludwików i Napoleona tu dochodzimy do zupełnej bezstylowości wieku XIX. Wieku niewątpliwych zdobyczy naukowych, z zakresu poznania materii i odkryć przyrodniczych, wieku filozofów i muzyków. Wiek XIX w sztuce plastycznej nazwać można dnem wielkiego koliska nieustannych przemian z zakresu plastyki. W XIX wieku widzimy jak całe szeregi wybitnych indywidualności gorączkowo poszukują nowych dróg, jednostek tworzących dla swej własnej satysfakcji, dla małego grona swych wielbicieli lub wreszcie pracujących w myśl hasła »Sztuka dla sztuki«.

Widzimy gorączkowe poszukiwania w kierunku zagadnienia w czym leży tajemnica praw rządzących naturą i dziełem sztuki. Twórca XIX wieku analizował, rozbijał światło na pier-

wiastki barw, barwy na punkty, punkty grupował w plamy, plamy w harmonie kolorystyczne, w tym procesie rozbijania całości zjawiska na elementy i układanie z tych elementów znów całości, był najzupełniej niezrozumiały dla szerokich rzesz, złaknionych chleba sztuki i w braku tegoż rzesze te skazane były na konsumcję namiastek wielkiej sztuki. Wiadomo jak bardzo byli zwalczani pionierzy impresjonizmu, mieszczaństwo współczesne i krytyka uważała ich wogóle za wariatów i to nawet niebezpiecznych, gdyż przewracali oni pojęcia dotychczasowego spojrzenia na świat. Z swej strony mieli oni w pogardzie tzw. treść, sprowadzali ją do pojęcia literatury w malarstwie a w ostatecznej definicji do ilustracji. Rezultat był ten, że wiek XIX pozostawił wiele kierunków, niemal tyle ile było wybitnych indywidualności, a sztuce religijnej poświęciły się jednostki mniej twórcze, które stworzyły całe grupy epigonów, minionych form i epok. I tu dochodzimy niemal do sedna sprawy dlaczego dzisiejsza sztuka plastyczna religijna jest w upadku. Gdy z jednej strony jednostki prawdziwie twórcze zajęły się poszukiwaniami czysto formalnymi chcąc objąć rozumem prawa rządzące zjawiskami optycznymi, to z drugiej strony odłam artystów mniej twórczych umieścił swe tęsknoty w najwyższych wzlotach renesansu uważając, że nie należy nawet marzyć o zdobyciu własnego wyrazu twórczości, odłam ten począł ślepo naśladować formy renesansu, zdobywając się na małe odchylenia indywidualnego wyrazu jak Moreau, Puvis de Chavanne, Burne Jones, Rosetti. Reszta w typie Feuerbachów, Overbecków, Corneliusów, karmiła smak mieszczaństwa raz jeszcze przeżutym pokarmem form renesansowych. Ruch neoklasyczny wystąpił synchronicznie w Francji, Anglii, Niemczech, Włoszech, zależnie od tego przybierał różne nazwy w wyrazie swym nie wyszedł poza nieskazitelną formę renesansu, lecz nie był ożywiony jego duchem. W zakresie malarstwa religijnego specjalnie może zasługiwać na uwagę w tym względzie grupa tzw. nazarejczyków, którzy wzięli sobie za cel opracowanie tematów religijnych, w obrazach tych znajdujemy wszelkie cechy martwoty, która charakteryzuje zawsze epigonów, a więc kompozycja zawsze jest idealnie gładka i ckliwa, postacie wszystkie są świetnie narysowane ale bez wyrazu, wyszukane draperie w klasycznych fałdach dodawały z reguły powagi tym

dobrze odżywionym postaciom. Wobec wielkiego rozwoju litografii, chromolitografii, oleodruku i wogóle metod reprodukcyjnych, obrazy te były reprodukowane i dzięki niskim cenom reprodukcji dostawały się do rąk szerokich rzesz, które w setnych kopiach Corneliusów, Feuerbachów, Overbecków widziały ideał wyśnionego piękna mieszczańskiego, który i dziś nie zmienił się na jotę. Czyż można się dziwić zresztą, wszak wielcy naprawdę twórcy jak Manet, Monet, Cezanne, Renoire, Van Gogh, Pisarro, Gauguin. który w swoisty sposób pojmował tą dziedzinę. A eksperymenty i praca tychże niewątpliwie wielkich jednostek wydawała się poczciwemu »bourgois« zgoła niebezpieczna dla porządku społecznego.

Widzimy więc, że właściwie wiek XIX nie zaznaczył się chlubnie w zakresie twórczych poszukiwań sztuki religijnej, poza sztuką ludową, która właśnie w wieku tym osiągnęła punkt kulminacyjny swojego rozwoju, ale omówienie tego wychodzi poza ramy tego tematu.

W rezultacie spostrzegamy zjawisko bardzo charakterystyczne, jakby antytezę XV i XVI wieku, tworzy ono harmonijny zespół, tylko, że nie wzniosłego piękna lecz banału i przeciętności. Znamy przecież wszyscy kościoły neo - romańskie i neo - gotyckie z kopiami Rafaelów, pełne odlewów gipsowych, oleodruków przedstawiających postacie Męki Pańskiej. Ze ścian tych wieje chłód, twór talentu i ręki twórczego artysty został dzięki przyspieszonej industrializacji XIX wieku zastąpiony falsyfikatami, kopią i wytworem maszynowym. W nagich ścianach Felixa i Adaukta czujemy się lepiej niż w najbogatszym wnętrzu neo-gotyku. Jaka jest potęga działania ducha ludzkiego w tej dziedzinie niech będzie przykładem to, że w ubogich ścianach kaplicy wybudowanej rękoma Brata Alberta w Kuźnicach zakopiańskich odczuwa się bezsprzecznie nastrój modlitewny i jakby wcielenie słów Norwida:

O! gdybym jedną kaplicę zobaczył,
Choćby, jak pokój ten, wielkości takiej,
Gdzieby się polski duch raz wytłumaczył,
Usymbolicznił rozkwitłymi znaki,
Gdzieby kamieniarz, cieśla, mularz, snycerz,

Poeta — wreszcie Męczennik i rycerz
Odpoczął w pracy, czynie i modlitwie...

W czym leży tajemnica tego dziwnego odczucia, w czym leży istota problemu? Nie łudzę się, aby dało to się rozwikłać w dwóch słowach i pozostawię to bardziej powołanym od siebie jednakże mam wrażenie, że prawdziwe dzieło sztuki musi powstać z głębokiej potrzeby ducha i wynajdzie zawsze takie środki do zamanifestowania się, że będzie emanowało ze siebie poprzez wieki i pokolenia nieziszczalne wartości.

Dzieło sztuki religijnej musi być wewnętrznie przeżyte a wtedy udzieli się zawsze widzowi. Choćby to był niedowiarek. Dzieło sztuki religijnej winno nami wstrząsnąć, wtedy spełni swoje zadanie, choćby sposobem wyrażenia były tak ubogie środki jakimi rozporządzała sztuka ludowa, gdzie drzeworyt czarno biały, świątek wyrzezany kozikiem, malowidło na szkle są niewątpliwym dziełem sztuki, tworem ducha ludzkiego, wynikającym z tęsknoty metafizycznej wobec najbardziej wymuskanego, najbogaciej ozłoconego oleodruku lub banalnej statuetki. Tworem epigona i maszyny obliczonej na zysk.

Gdy zadamy sobie pytanie **„Czy dzisiaj może powstać prawdziwe dzieło sztuki religijnej“?** Po namyśle odpowiemy, tak — o ile wynika z wewnętrznego szczerego przeżycia danego tematu i duchowej potrzeby wyrażenia tej tęsknoty przez artystę. Teraz rozważmy, jakie czynniki sprzyjają zrealizowaniu prawdziwego dzieła sztuki religijnej a więc przede wszystkim środowisko, następnie tzw. atmosfera artystyczna, wiedza artystyczna wogóle oraz znajomość Pisma świętego, ikonografii, symboliki i historii.

Poza tym niezbędne jest rzetelne i gruntowne poznanie rzemiosła artystycznego, umiejętność stosowania materiałów istotnie trwałych.

Gdy weźmiemy pod uwagę dostępne nam dzieła artystów średniowiecznych i przeprowadzimy ich analizę, to przekonamy się, że zarówno iluminatorzy ksiąg, jak i malarze cechowi do renesansowych włącznie, głęboko i szczerze przeżywali dany temat, mieli dostateczną wiedzę ikonograficzną i na wylot znali swoje rzemiosło. W sposobie wyrażania się, jakże dalecy byli

od dzisiejszych kanonów ckliwej piękności. Jakże wstrząsające są sceny męczeństw, jakże pełne ascetyzmu, skupienia i surowości są twarze Świętych Pańskich, ile w nich powagi i dobroci. Postacie ożywiające freski malarzy trecenta i quatrocenta są pełne wyrazu, święty Franciszek z Asyżu na freskach Giotta ma twarz nie piękną, lecz prześwietloną wewnętrzną treścią; jakże wspaniałe i pełne odczucia są twarze Madonn i świętych Mantegny i Ghirlandaja. Jakże niezatarte wizje wyczarował nasz Wyspiański w postaci Boga Ojca, św. Franciszka, bł. Salomei, jakże wstrząsają nami postacie z kartonów jego witraży. Dalekie są one od powszechnie przyjętych dziś bez wyrazu wizerunków współczesnych i wyretuszowanych reprodukcyj. Wydaje się, że i tu wkradł się materializm w pojmowaniu scen i wizerunków, widocznym jest ogromne szablonowanie, jedna indywidualność wyobrażona jest kropla w kroplę podobna do drugiej, a wszystkie wypielęgnowane, różowe, dobrze odżywione, takie przykłady muszą pogłębiać sceptycyzm niedowiarków, aby ci surowi asceci umartwiający swe ciało mieli tak ślicznie i nieskazitelnie wyglądać, w szatach ułożonych w jak najpoprawniejsze fałdy. Zapomina się często o tym, że Święci Pańcy były to indywidualności w każdym calu, byli to ludzie genialni, dobrzy, mądrzy, surowi, asceci, wygląd ich a raczej plastyczny symbol naginany jest do smaku najszerszych rzesz, wyobraża się ich takimi jakimi nie byli, inaczej wyobraża ich sobie nieomylna intuicja prawdziwego artysty. Dziś widzimy ich na modłę ideałów niemieckiego mieszczańskiego pojęcia piękna fizycznego ciała. I spostrzegamy, że poczucie to jest głęboko zakorzenione od stu przeszło lat, a wyrobione równoległe z napływem oleodruków i wzorów niemieckich eksportujących do nas obrazy święte i świeckie w typie Lohengrinów, Nibelungów, wschodów i zachodów słońca. Narzucanie szablonu, artystów rzetelnych i szczerych bezwarunkowo zniechęca. Często konieczność życiowa zmusza ich do zastosowania się do wymogów i wówczas następuje poważny konflikt wewnętrzny, który każe rzetelnemu artyście wycofać się raz na zawsze z tej dziedziny, albo przechodzi on na drogę kompromisu, odrabia tematy i przystosowuje się do banalnych wymogów nie wnosząc nic nowego. Musimy jedną rzecz podkreślić wyraźnie, że okres mecenasów w typie Juliusza II i Medyceuszów

skończył się i należy pomyśleć o tym, kto ich może zastąpić. Obawiam się, że za lat 50 szlachetna twarz Brata Alberta prześwietlona rozumem i dobrymi oczami wyda się nakładcom i retuszerom w swoim realizmie zbyt banalna i będą starali się oni za wszelką cenę uczynić tę twarz zbliżoną do swych ideałów. W tych przykładach widzimy, że uleciał duch szczerego przeżywania treści a jest tylko kalkulacja obliczona na gust szerokich mas, o których nie można powiedzieć, aby takie właśnie przedstawianie scen i postaci podnosiły na duchu bodaj o jeden szczebel wyżej.

Przyjrzyjmy się bliżej obiektywnie jak problem ten przedstawia się w Polsce. Wkrótce musimy stwierdzić, że b. smutno a mianowicie potrzeby sztuki religijnej zaspakajają się przeważnie fabrykatami bez cech artystycznych. Szerokie rzesze kupują obrazy, obrazki, dewocjonalia o cechach wybitnie obcych naszemu duchowi, często wyrób i smak jest importowany. Zamówienia na polichromie, obrazy ołtarzowe, witraże, rzeźby trafiają jakże często do rąk dyletantów; w niewielkim tylko procencie pracę tę otrzymują artyści. Lud na odpustach kupuje fabrykowaną masowo tandetę pochodzenia często obcego przemysłu i smaku. Dlaczego tak jest? Trudno na to odrzec. Stwierdzić musimy, że w Polsce nigdy nie było mecenasów tej miary co Juliusz II i Medyceusze, a rolę tę dziś może spełnić tylko organizacja wyłoniona ze sfer miarodajnych, organizacja której celem byłoby zaogniskowanie wszystkich usiłowań w tym kierunku, poszczególnych jednostek, której celem byłoby podźwignięcie sztuki religijnej na najwyższe regiony.

Wszak artystów zdolnych mamy dużo a rok rocznie uczelnie artystyczne opuszczają rzetelni fachowcy z zakresu wszystkich specjalności sztuk plastycznych a więc architektury, malarstwa, rzeźby, grafiki, tkactwa; wielu z pośród nich poświęciłoby się chętnie poważnej pracy w zakresie sztuki religijnej, oczywiście nie mam wrażenia, aby każdy absolwent uczelni artystycznej byt artystą pracującym w tym zakresie, gdyż do tego trzeba mieć rodzaj powołania, a w każdym razie żywe zainteresowanie i chęć pogłębienia problemów związanych z dziedziną sztuki religijnej. Należy wierzyć, że stoimy u progu odrodzenia, po nieudałych okresach prób, zwątpień i eksperymentów nieodzowną jest

współpraca wszystkich specjalności, architekt będzie ściśle współpracował z malarzem, rzeźbiarzem, witrażystą, wspólny duch musi łączyć ich pracę, o ile ma to być dzieło sztuki, a tym duchem ich ożywiającym może być tylko głęboka wiara i przeżycie tego nad czym pracują. Wówczas możemy spodziewać się, że powstaną współczesne nam kościoły-pomniki zapełnione dziełami sztuki. **I duch znów przezwycięży materię.**

Należy wierzyć, że w Polsce prędzej czy później powstanie powołany przez czynniki duchowne decydujące Instytut Sztuki Religijnej, który będzie miał na celu zogniskowanie w swych ramach wysiłków wszystkich jednostek twórczych w tym kierunku, które chcą w tej dziedzinie bezkompromisowo pracować. Instytucja ta winna z ogniskować wszystkich artystów ze wszystkich specjalności a więc architektów, malarzy, grafików, rzeźbiarzy, artystów tkaczy i artystów pracujących w technikach metalowych i stworzyć im atmosferę pracy, drogą zamówień, konkursów, wystaw; artyści ci stykając się ze sobą automatycznie wytworzą atmosferę artystyczną, sprzyjającą pogłębieniu problemów. Organizacja powyższa winna być oparta na ścisłym kontakcie z warsztatami wytwórczymi rzemieślniczymi, aby projekty mogły być doraźnie realizowane, na wysokim poziomie technicznym i artystycznym. Instytut taki winien mieć ogniska prowincjonalne wyposażone w biblioteki dzieł związanych z ikonografią, symboliką, historią, i technikami artystyczno-rzemieślniczymi.

Wymarzoną siedzibą takiej centrali wydaje mi się Kraków gdyż w murach swych zawiera wszelkie dane do wytworzenia odpowiedniej atmosfery; bogate tradycje, zbiory i muzea, uczelnie artystyczne i naukowe. Ponieważ jest to problem niezwykle żywotny, można optymistycznie twierdzić, że ognisko takie wpływami swymi promieniować będzie na całą Polskę. I tu właśnie, gdzie rozpoczął swoją działalność Brat Albert, ten wymarzony patron bractwa artystów polskich, pracujących w zakresie sztuki religijnej, mogłoby powstać potężne, pulsujące środowisko artystyczne, **któreby ogniskowało w swych ramach artystów, którzy już poważnie dali się zapoznać ze swoją pracą, a którzy pragnęliby poświęcić swój talent sztuce religijnej.** Których usiłowania czynniki miarodajne otoczyłyby swoją życzliwą opieką.

Ognisko takie powinno być oparte na zdrowych zasadach rozwoju, któreby umożliwiały rok roczny napływ młodych sił i talentów. Wówczas zapewne w zdrowej atmosferze, bez zawiści zawodowych, powstawałyby dzieła o wysokich wartościach z warsztatów wytwórczych związanych artystyczną ideą wychodziłyby przedmioty kultu o cechach artystycznych począwszy od pięknych opraw ksiąg, koronek, haftów ornatów, kielichów, skończywszy na stallach, posągach, witrażach, polichromiach.

A do ludu polskiego, miast pozbawionych smaku wzorów obcych, trafiać będzie wytwór pomysłu polskiego artysty wykonany przez polskiego rzemieślnika. A może wówczas ucieleśnią marzenia poety zawarte w słowach:

»I tak ja widzę przyszłą w Polsce sztukę,
Jako chorągiew na prac ludzkich wieży, —
Nie jak zabawkę, ani jak naukę,
Lecz jak najwyższe z rzemiosł apostoła
I jak najniższą modlitwę anioła«.

KS. STANISŁAW HOPEK

# ECHO DZIWNEGO SPOTKANIA



*Ks. Stanisław Hopek*

Trzeci dziesiątek lat mija od chwili, kiedy spotkałem się z Bratem Albertem w Stanisławowie. Byłem podówczas katechetą szkoły żeńskiej im. kr. Zofii i równocześnie kapelanowałem w schronisku Brata Alberta, położonym daleko na peryferiach miasta.

W niedzielę i święta proszono mnie, bym przemówił od ołtarza do tych niezwykłych parafian. Oczywiście, przemówiłem, lecz słuchacze nie byli zadowoleni, bo jak się jeden z nich wyraził: »Jegomość głośno prawił, ale nie po naszemu«. Za to w następną nie-

dzielę, gdym z pomocą braci przyuczył się cokolwiek gwary ulicznej i zastosował w nauce, przyznano mi patent na kaznodzieję bezdomnych. Z czasem tak się zżyłem z oną nędzą uliczną i pozyskałem jej zaufanie w roli *naszego księdza*, że witaliśmy się na ulicach miasta, jak starzy znajomi gawędząc o swojej niedoli. Dziwnie było mi tylko wtedy, gdy pomocnicy rakarza, których żartem nazywałem *pieskobójcami*, z linewką w ręku zastępowali mi drogę, mile pozdrawiając: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — ale i z tym się z wolna otrzaskałem.

W tych to czasach, któregoś dnia powiadomili mnie bracia o wizycie Brata Alberta, który przybył z Krakowa na przegląd schroniska. Po raz pierwszy miałem się spotkać z tym mężem opatrznościowym — oko w oko. Nic więc dziwnego, że paliła mnie ciekawość, jak wygląda ten nowoczesny biedaczyna krakowski, arystokrata z rodu przybrany w opończę koloru ziemi z beretem żebraczym na głowie; ten który zawarł dozgonną przyjaźń z ubóstwem, skrajną nędzą, hołotą uliczną, by ją dźwignąć ku Bogu. Szczególnie byłem ciekawy, co ten sławny ongiś artysta malarz pod świeckim nazwiskiem Adam Chmielowski powie o moich malowidłach? A w pokorze ducha wyznaję, że jako samouk dużo malowałem a nawet na wystawie amatorskiej obrazów w Stanisławowie zdobyłem złoty medal.

Wreszcie pewnego popołudnia zasłyszałem miarowy stukot protezy Brata Alberta na schodach kamienicy, w której na drugim piętrze mieszkałem. W przydługiej rozmowie zwróciłem uwagę Gościa na jeden z moich większych obrazów — malowany olejno p. n. Wodospad Prutu. Mistrz spojrzał na chwilę na obraz i zwracając się do mnie poprosił o szkicownik. Podałem mu zwykłą notatkę ze swoich podróży po Beskidzie wschodnim. Zaraz na pierwszej stronie wykończony rysunek wiaduktu jaremczańskiego zastanowił Brata Alberta, który uśmiechając się rzekł:

— Chyba nie pogniewa się na mnie ksiądz katecheta, gdy powiem szczerze, że nie zamieniłbym ten drobny szkic ołówkowy — za ten duży malowany olejno.

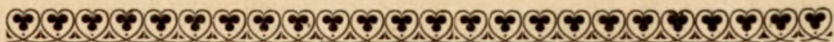
Na takie *dictum* zaniemówiłem. Przecież pół roku mozoliłem się nad wykończeniem onego metrowego obrazu. Byłem na-

wet przekonany, że dokonałem nie lada dzieła; kazałem oprawić w bogate ramy i... ani jednego słówka pochwały.

Dostrzegł to moje załamanie Brat Albert i począł pocieszać a zarazem i uczyć.

— Malujcie — księże — bo talencik jest, ale malujcie nie z pocztówek, ani z fotografii, lecz wprost z przyrody. Malujcie, podpatrując Mistrza nad Mistrze — Stwórcę w Jego dziełach a nauczycie się nie tylko dobrze władać pędzlem, czy ołówkiem, ale i Boga Wszechmocnego wielbić w tym, co z miłości dla człowieka uczynił.

Odtąd zarzuciłem żmudne kopiowanie i maluję przeuroczy krajobraz polski, jakim Boska Opatrzność ubogaciła moją Ojczyznę.



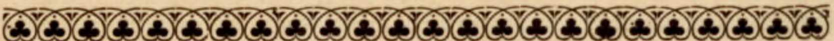
MIECZYSŁAW ZIELENKIEWICZ

## BEZDOMNI

*Na progu każdego zdarzenia*
*stają bezdomni.*
*Może sobie kto o nich przypomni,*
*a może to moc przeznaczenia,*
*która ich żenie z kąta w kąt*
*na ziąb i zawieruchu.*

*A oni żyją wciąż wiosny podmuchem,*
*wierząc niezłomnie, że stąd*
*wysuną się ku nim ręce,*
*które ich powiodą pod dach, ku ludzkiej rodzinie,*
*gdzie ich bratnie otoczą ramiona*
*i kres położą męce.*

*Godzino upragniona,*
*w której ty przyjdziesz godzinie ?!*



# PRZEGLĄD PRASY

Warszawski Komitet Jubileuszowy rozesłał odezwę do literatów, w której zwraca się z prośbą do ludzi pióra, by zechcieli w specjalnych artykułach przypomnieć społeczeństwu Brata Alberta w okresie, kiedy w Warszawie odbywać się będą uroczystości jubileuszowe. Odezwę podpisali: Fr. Socha Paprocki, Zofia Kossak i Elżbieta Dębicka. Odezwę przedrukowała prasa.

Adolf Nowaczyński w nr. 9 „Prosto z mostu" zamieścił ciekawy artykuł „Dni Brata Alberta". Artykuł Nowaczyńskiego, jak i poprzednio wydana książka o Bracie Albercie, jest pisany z serca. Pióro Nowaczyńskiego znane w Polsce jako najostrzejsze i tym razem nie zawiodło. Z goryczą wyrzuca społeczeństwu, że Br. Albert w erze tylu chorobliwie przesadzonych kultów nie ma swojej normalnej popularności, że Jego spuścizna nie stała się u nas terminem tak często i stale używanym, jak np. w W. Brytanii i anglosaskich społeczeństwach... Armia Zbawienia... Salvations Army... „Dni Brata Alberta" Nowaczyńskiego są artykułem okolicznościowym i do poznania samego życia Brata nie wnoszą nic nowego. Autor nie wykorzystał też poważnych prac n.p. mjr. Sokulskiego: „Udział Adama Chmielowskiego w powstaniu styczniowym", Ks. Konstantego Michalskiego prof. U. J. „Brat Albert", ale wobec charakteru artykułu nie podnosimy żadnych zastrzeżeń, których Nowaczyński może nie uznaje, jako że wyszły z prowincjonalnej małej stołeczności. Daj Boże, by po tak silnym odezwaniu się Nowaczyńskiego około Brata Alberta zrobił się wielki ruch w całej Polsce, bo w przeciwnym razie pozostanie tak nadal, że gdy dzieło Brata Alberta, już się stało integralną częścią duchowego Krakowa, to Warszawa może nie mieć długo jeszcze nawet ulicy „Polskiego Biedaczyny".

Warszawski Dziennik Narodowy z dnia 25. II. w części przedrukował artykuł Nowaczyńskiego »Dni Brata Alberta«.

»Siermiężna armia miłości«. Pod takim tytułem zamieścił niezwykle ciepły felieton o Bracie Albercie w „Dzienniku Bydgoskim" /4. III./ ks. Florian Kaszubowski, który zakończył takim zwrotem:

> Z serc polskich ku niebu płynie gorąca modlitwa o przyspieszenie procesu kanonizacyjnego Wielkiego Jałmużnika, Artysty, szarego Brata Alberta

Niestety, dotąd jeszcze nie rozpoczęto nawet informacyjnego procesu beatyfikacyjnego.

„Obrona Kultury" nr. 5. z dnia 1 marca przynosi artykuł pióra ppłk. M. Dienstl Dąbrowy p. t. „Kraków, miasto odczytów, procesów, historyków i Brata Alberta". Autor, zasłużony popularyzator idei albertyńskiej i jej gorący orędownik na łamach wydawnictw koncernu I. K. C. tym razem alarmuje opinię publiczną możliwością zburzenia za-

bytkowego szesnastowiecznego domu, w którym mieściła się ogrzewalnia Brata Alberta a dziś istnieje zakładowa kapliczka.

„O r k a“miesięcznik społeczny wydawany i redagowany przez K. Berkan, Poznań, Em. Sczanieckiej 9a m. 11a. W tej „Orce“ nie drukuje się słów dla słów, ale dla wywołania czynu. Wyjałowiałą, zachwaszczoną materialistycznymi doktrynami glebę naszych serc p. K. Berkan nie tylko wzrusza pod siew dobrego ziarna, ale dzięki nadzwyczajnemu wyczuciu rzetelnej pracy społecznej i dzięki jej szerokiemu horyzontowi myślowemu glebę tę równocześnie pięknymi inicjatywami zapładnia. Żadna z rzetelnych akcyj nie może w „Orce“ nie wywołać sympatycznego echa, jak również znajdzie tutaj zasłużoną odprawę obłudna, krecia robota zawodowych inicjatorów, fałszywych proroków. Dla naszej sprawy „Orka“ ma już duże zasługi. W ostatnim zeszycie tego dla nas tak sympatycznego pisma znajdujemy charakterystyczną wzmiankę:

> Na przestrzeni drogi 15-to minutowej, spiesząc o świcie na kolej, dostrzegłam aż dwóch ludzi, rozpostartych do spania na gołym chodniku. Sporo przechodniów kręciło się na ulicy. Nawet policjant spacerował opodal... Ptaki mają gniazda a ludzie?... Brak nam Braci Albertynów w Wielkopolsce! Bo i u nas znaleźliby biedaków bez opieki, zatraceńców, którym wszystko obrzydło... Czy zrozumiemy, co to znaczy obojętny na wszystko?... Dziś nie rozdawać zdawkowych słów pocieszenia, ani po przyjacielsku klepać po ramieniu, lecz nachylić się do nieszczęśliwego, który leży, podnieść go, nie pytać o nic, nie pisać protokułów, lecz dać mu posiłek, izbę i pracę. Bez wielu słów. Bez komitetów. Każdy w swym obwodzie. Braci Albertynów nam sprowadźcie, abyśmy mieli gdzie kierować wydziedziczonych!

G o n i e c  W a r s z a w s k i z dn. 12. III przynosi artykuł mgr. S. Łubienieckiej: »Dzieło A. Chmielowskiego«.

W »T r y b u n i e  l i t e r a t ó w i a r t y s t ó w« Kraków nr. 1-2 J. Sikora Dąbrowiecki wybrał kilka myśli z pism Brata Alberta i umieścił w dziale: »C a m e r a  l u c i d a«. Pomysł naprawdę piękny.

„G o ś ć  N i e d z i e l n y“ Katowice—zamieścił jako tytułówkę portret Brata Alberta oraz kilka interesujących zdjęć z działalności charytatywnej albertynów. W tym samym tygodniku znajdujemy artykuł: „N a  L e s z n i e“ obrazujący prace zgromadzenia żeńskiego Brata Alberta.

„D z w o n  N i e d z i e l n y“ zamieścił kilka zdjęć albertyńskich.

/Wycinki do przeglądu prasy zawdzięczamy br. przełożonemu Viatorowi z Warszawy i p. Stanaszkowi z Krakowa. Prosimy Czytelników o dalsze nadsyłanie wycinków, które gromadzimy dla archiwum domu Brata Alberta/.

Red.

# *Na wspólnej drodze*

Na tak zwane dzisiaj dzieło Brata Alberta składa się wiele czynników obok pracy samych albertynów. Fundamentem całej akcji jest jałmużna. Więc nie żelazne kapitały, fundacje, zapisy ale jałmużna składana we wszelkiej formie, bo nie chodzi tylko o sam pieniądz. Już nie z dziejów życia Brata Alberta, ale nawet z tych dwukartkowych sprawozdań z pracy przytulisk drukowanych corocznie od lat 50 przekonywujemy się o przemożnej roli czynnika, który tam określa się mianem dobrodziejów. Dawniej byli to ludzie bliscy Bratu Albertowi, dosłownie jego przyjaciele, którzy różnymi środkami stwarzali atmosferę, w której to dziwne dzieło mogło wzrastać. Wielu było już wtedy orędowników albertyńskiego miłosierdzia.

Dzisiaj jest ich równie wielu i coraz to nowi ludzie, najczęściej poruszeni iskrą Bożą przez przykład szarego habitu, wstępują na drogę współpracy z albertynami i dla sprawy polepszenia doli ludzi bezdomnych robią wiele i wszędzie. Ku zachęcie i w myśl zasady, że wzniosłe przykłady rodzą dobre czyny, postanowiliśmy na tym miejcu stale przedstawiać krótkie monografie dobrych czynów ludzi, z którymi kiedykolwiek spotkaliśmy się na wspólnej drodze...

Red.

## SERCE i CZYNY

Dr Mieczysław Kaplicki b. prezydent m. Krakowa dziwnie rozpoczął swoje włodarstwo w podwawelskim grodzie. Wprost z ratusza, prawie w pierwszym dniu swojego urzędowania pojechał zapoznać się placówkami opieki społecznej na terenie miasta. W wielu zastał na posłudze albertyńskie szare habity. W starym domu Brata Alberta na Kazimierzu, w mrocznych izbach, pełnych zaduchu, przy bezpośrednim zetknięciu się z najtragiczniejszą nędzą ludzką coś targnęło sercem tego szlachetnego człowieka i wycisnęło do oczu łzy. Zapłakał lekarz z zawodu, żołnierz znający grozę wojny światowej. Te łzy — wynik serdecznego wzruszenia — były zadatkiem wielkiego dzieła. Może nawet w owej chwili przemknęła przez myśl idea Żeromskiego: szklane domy. I wybudował. Dom na Zielnej jest jego dziełem. Opowiadają, że architekt nadzorujący prace budowlane z ramienia Zarządu Miejskiego obowiązany był dwa razy w tygodniu osobiś-

cie składać raport z postępu prac i zawsze się spotykał z wyrzutami za niedostateczne tempo.

Dr Mieczysław Kaplicki zamiast życzeń, kwiatów na grób zasłużonych obywateli, z okazji rocznic czy obchodów największą ofiarę z własnej szkatuły przeznaczał zawsze na zakład Brata Alberta.



Prez. Dr M. Kaplicki przemawia na poświęceniu nowego przytuliska Brata Alberta.

Nasza akcja o zachowanie i wydostanie z rąk żydowskich domu Brata Alberta w Krakowie nie zakończyła by się tak pomyślnie i szybko, gdyby nie spotkała się z nadzwyczaj życzliwym i pełnym zrozumienia stanowiskiem prezydenta m. dra Kaplickiego. Członkowie delegacyj mogliby o tym powiedzieć wiele więcej. Za jego prezydentury utarł się w prezydium magistratu zwyczaj, że dla br. starszego Wincentego nie obowiązują godziny audiencjonalne ale drzwi gabinetu prezydenckiego stały w każdej porze otwarte. Prezydent Kaplicki we wszystkich uroczys-

tościach albertyńskich brał udział zawsze osobiście a przemówieniom jego towarzyszyła nuta serdeczności, szczerej sympatji i wzruszenia.

Przypomnieć należy jeszcze drobny szczegół, ale jakże charakterystyczny. Ostatnią wieczerzę wigilijną spożywał razem z najniższymi w hierarchii społecznej obywatelami w przytulisku albertyńskim na Zielnej. Na jego wyraźne życzenie spożywał te same co i inni potrawy i z tych samych prostych naczyń. Później na kamiennej posadze w kaplicy klęcząc na oba kolana modlił się śpiewając ze wszystkimi kolędy.

Ustępując z zajmowanego dotąd stanowiska pożegnał się szlachetnym gestem. Zrzekł się emerytury, z czego 1/3 przeznaczył na zakład Brata Alberta. Podobne, jak do albertyńskiej akcji ustosunkowanie się znajdowały u prez. Kaplickiego również inne poczynania społeczne i wobec jego ustąpienia proletariat Krakowa traci w nim dzielnego i wielkiego orędownika swych praw i oddanego przyjaciela.

## PO LATACH...

Niniejszym przesyłam 5 zł. Przysłano mi kalendarz. Przed kilku laty będąc w Krakowie, odmówiłam pewnemu kwestarzowi Braci Albertynów datku. Nie znałam tej wysoce wzniosłej akcji nie będąc wychowana w kraju. Jeśli wygram na loterii, nie zapomnę o tej szlachetnej i tak potrzebnej instytucji.

Z poważaniem

*Lydia Bernaczek, Bydgoszcz.*

## ĆWIERĆ WIEKU RZETELNEJ WSPÓŁPRACY

P. Rudolf Hajnos rodem z Brzeżan, żołnierz drugiej brygady legionowej. Po rozwiązaniu jej w Żywcu osiadł na stałe w Krakowie. Od roku 1915, pracuje w szkolnictwie, jako kierownik państw. szkoły ćwiczeń i profesor seminariów nauczycielskich. Z zakresu pedagogii wydał kilka poważnych prac. Odznaczeń wojskowych ani wogóle innych nie posiada. Nie jest członkiem Zw. Legionistów jak również Z. N. P. Jest wybitnym

działaczem Akcji Katolickiej na terenie Krakowa i pierwszym prezesem Związku Przyjaciół Dzieła Brata Alberta z racji swych wielkich zalet serca i umysłu, jak i dlatego, że przez przeszło ćwierć wieku sprawie albertyńskiej z największym oddaniem bezinteresownie całym sercem służył. Dotąd przez jego ręce przeszło pół tysiąca młodych ludzi, wychowanków albertyńskich, których w t. zw. »przemysłówce« przez trzy godziny dziennie wieczorem uczył, wychowywał słowem i czynem przez przykład własnego życia.



Rudolf Hajnos prezes Związku Przyjaciół Dzieła Brata Alberta.

Ulubionymi jego wielkościami to św. Franciszek z Asyżu i Brat Albert. Od 25 lat corocznie urządza w sali zakładu akademie ku czci św. Franciszka. A ile razy mówił po całej Polsce o Bracie Albercie, tego nawet on sam nie potrafiłby zliczyć. Daj mu Boże zdrowie i siły do dalszej pracy!

## Kęty w hołdzie Bratu Albertowi

Gdy od Wojciechowego grodu, ze stolicy prymasowskiej coraz potężniejsze daje się słyszeć wołanie o »katolicki czyn społeczny«, gdy ludzie dobrej woli rozumieć zaczynaja, że hasło to polega na zrealizowaniu problemu dobra powszechnego, a więc zwróceniu się całem sercem ku masom znękanym nędzą materialną, a co zatem idzie — i moralną, oczy wszystkich zwracają się ku szarej postaci tego, który pod zgrzebnym habitem ukrył

swe wielkie wartości, by szukać Boga między najnieszczęśliwszymi z ludzi.

To też nie należy dziwić się, że szlachetne serca mieszkańców Kęt postanowiły złożyć hołd Temu, który bezgranicznym swym poświęceniem wskazał społeczeństwu polskiemu drogę ku lepszemu jutru.

Znajdujemy się w obszernej sali kina »Pod Białym Orłem« wypełnionej po brzegi publicznością. Pierwsze miejsca zajęli: br. Wincenty, starszy Zgrom., ks. kanonik Stojanowski i p. radca dr Dymek, prezes Akcji Katolickiej w Kętach.

Punktualnie o godz. 12·30 majestatycznie unosi się kurtyna. Na tle narodowo-papieskim rozpięty na piersiach stalowego orła wśród zieleni girland ukazuje się oczom widza portret wielkiego syna Kościoła i Ojczyzny — Brata Alberta, ojca nędzarzy.

Pierwsze numery programu wypełnia chór dzieci szkoły powsz. im. Tad. Kościuszki z Bulowic pod kierownictwem p. Zająca; z estrady płynie wspaniały hymn »Gaude Mater Polonia«.

Z kolei następują deklamacje i dwie pieśni o Bracie Albercie w wykonaniu tegoż zespołu.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje uczennica klasy VI. St. Mendykówna, która ku największemu zadowoleniu publiczności wywiązała się z trudnej deklamacji p. t. »Hymn do słońca« św. Franciszka z Asyżu.

W międzyczasie p. dyr. Hajnos z Krakowa w głęboko ujętym referacie zapoznał słuchaczy z najpiękniejszą postacią naszego wieku i założycielem wielkiego dzieła miłosierdzia. Niemilknące oklaski nagrodziły szlachetny odruch Prelegenta.

W dalszym ciągu wystąpiła mistrzowska orkiestra Państw. Gimn. i Liceum im. św. Jana Kantego pod batutą p. prof. K. Koniora, dając miłośnikom muzyki nieprzeciętną ucztę duchową.

W drugiej części akademii koło sceniczne Z. S. z Bulowic odegrało sztukę Eli Oleskiej p. t. »Już idę...«, osnutą na tle życia Brata Alberta. Doskonała gra artystów wzbudzała co chwila rzęsiste oklaski.

Jeżeli wesołe dialogi pobudzały do częstego śmiechu, to szlachetna postać Adama Chmielowskiego w niejednej duszy wywołała świętą zadumę nad bezmiarem poświęceń, jakie człowiek złożyć może na ołtarzu miłości bliźniego. (ha)

# KRONIKA NOWICJACKA

**Po rekolekcjach.**

Bulowice (9. XII). Minęły dni skupienia. . . — i znowu powrót do ciężkiej, codziennej pracy.

Czterech braci profesów, w szyku: „jak się komu podoba" zdąża na stację. Pierwszy br. Władysław z małą walizką, pełną, jak zwykle, książek. Za nim z powagą neoprofesa kroczy br. Honorat w towarzystwie br. Czesława. Na końcu wreszcie br. Apolinary, jako że powagą, wiekiem, no i — tuszą imponujący.

Tuż przed stacją zasadzka; gwałtownie ku torowi obniżająca się górka, którą ostatni ze wspomnianych braci przebył w bardzo różnorodnych i niekoniecznie wdzięcznych pozach, aż do pozycji siedzącej włącznie.

Godzina 11. Pociąg ciężko zasapał i zatrzymał się na stacji. Wagon wchłania w siebie tęgi ładunek osobowo - bagażowy i — odjazd! Marszruta na Kraków.

Żegnajcie towarzysze nowicjackiej doli! Bóg z wami.

**W wigilijny wieczór.**

Dla niejednego z nas pierwsze święta w zakonie. O ileż one piękniejsze niż w świecie.

Gromadzimy się w refektarzu. Jest i Brat starszy, który jak dobry ojciec wszystkie święta spędza w otoczeniu najmłodszych swych synów. Następują życzenia... Radość przy wigilijnym stole aż się przelewa.

Sercem jednak jesteśmy przy tobie biedny, bezdomny tułaczu. Radosny głos dzwonów zwołujący na pasterkę wyciska może z ócz twoich łzy żalu i goryczy. Nie smuć się, lecz ufaj. My już niedługo przyjdziemy do ciebie. Ciepłem młodzieńczych serc naszych ogrzejem twe zziębnięte członki, uściśniem dłoń wzgardzoną; boć posłannictwem naszym życiowym to kochać cię bezgranicznie.

**„Sylwester" u stóp Pana.**

W powodzi kwiatów i świateł, w atmosferze rozmodlonych serc króluje w monstrancji On — Pan wszechwieków. W uniesieniu świętym kajamy się przed boskim Jego majestatem za swoje i całego świata winy minionego roku.

A gdy potężne »Te Deum« przebrzmiało, wszystkie głowy schyliły się pod błogosławieństwem Pana na nowy rok . . — i wszystkie nędze ludzkie umilkły na chwilę, roztopiły się w blasku świateł i woni kadzideł.

Tak najmłodsze pokolenie albertyńskie żegnało jubileuszowy rok Zgromadzenia.

**Na Nowy Rok.**

Z ufnością patrzymy w przyszłość. Twarda ona i znojna. Lecz nie lękamy się trudów. Chrystus osłodzi nam wszelki znój.

Powołanie do Boga wymodlił nam okrzyk bólu nędzy wszelakiej. A więc z pełnią wiary, zapału i radości wyjdziem na szańce niedoli, by w świątynie przekuwać dusze wyrzutków społeczeństwa. Serca nasze oddajemy całkowicie tej wielkiej idei. To jest treść naszego życia, wątek naszych myśli i uczuć.

Wszystkie struny serc naszych nastrajajmy na jeden wielki hymn: Czynu! (ha).

Wydawca: Brat Wincenty albertyn Redaktor: Wł. Figiel

Drukarnia „Fortuna“ R. Kostuchowej Kraków Lubicz 13 — Tel. 134-02